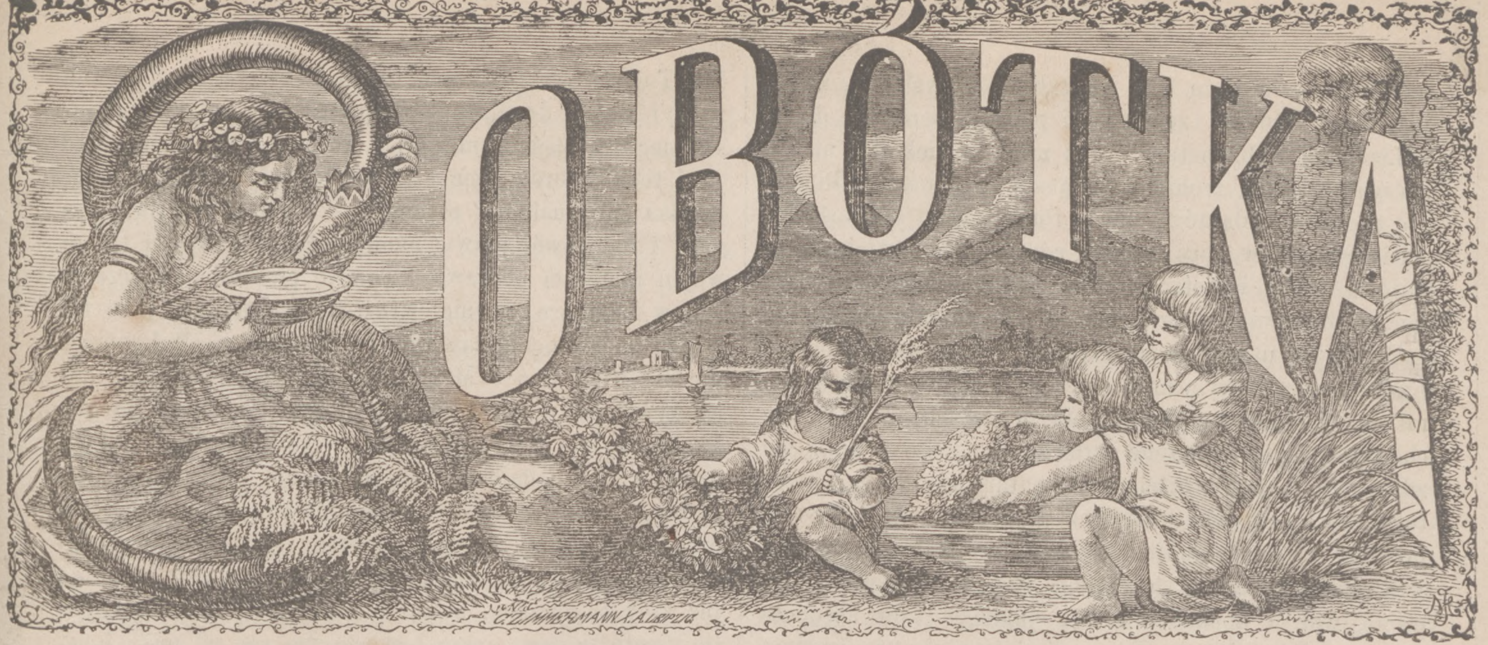


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№. 45. Poznań, dnia 5 Listopada 1870. Rok II

Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

J. K. Turskiego.

(Ciąg dalszy).

VII.

Skutki walca.

Już to prawdę mówiąc, walc jest namiętnym tańcem. Sama muzyka jego ma w sobie coś tajemniczego i sprawiającego zachwyt jakiś uderzający, szalony. Kiedy patrzysz na te pary kołyszące się w gorących splotach rąk, nieraz drżących — zdaje ci się, jakobyś stał pośród fal wzburzonego żywiołu, i unosisz się wraz z niemi, choć nie tańczysz, i wiruje ci w głowie i sercu — ale nie dusza ni uczucie, jeno rozgrzana, rozfalowana i w tobie krew gorąca. Walec odurza i czaruje: i chociaż jeden z lepszych poetów nawet natchnienia w walcu do pięknéj pieśni zaczerpnął — pieśni jego i walca nie przestaną jednak nazywać wyskokiem wstrząśniętéj i wzburzonéj krwi, która może przypadkiem i o stronę serca pieśniową, jedną z swoich roznamiętnionych fal, zaczepiła. Walc jest narodowym tańcem południowców, jest wyrazem usposobienia z pod gorącego nieba Tyrolów — nie dziw więc, że nie zdołał zaaklimatyzować się u nas nigdzie więcéj, jak tylko w salonie — owym stoku różnego rodzaju nowostek i zagraniczności, a nieprzyjął się wcale w staréj komnacie, polonezowi tylko odpowiedniéj, ani w chacie wieśniaka, tańczącego sztucznego i żwawego oberka — a nie zapalającego się wcale walcem. —

O walcu napisałem tu słów parę, chociaż dużo więcéj dałoby się jeszcze napisać — z powodu jego wpływu na usposobienie Stanisława Ciołka, który tańcząc go pierwszy raz w życiu z namiętną do tańca Maryą — tak silnie przejął się jego stroną namiętnościową (nie estetyczną, chociaż i ona jest w walcu aczkolwiek nie wielka), że go ciągle śpiewał, gwizdał i tańczył nawet solo po małéj izdebce Tomcia. Lecz nie ten tylko był skutek tego czarującego tańca. Stanisław będąc na owym walcowym wieczorze przez rodziców Piotrusia i przez jego piękną siostrę Maryą (brunetkę białą, o niebieskich oczkach i zadartym nosku) zaproszonym do częstszego ich nawiedzania, marzył o jak najprędszém zadość uczynieniu ich zaproszeniu, marząc przytém o pięknych oczach Maryi i o cudownym walcu, w którym mu ona wydała się jakiémś nadziemskiém stworzeniem. Marzenie to było oczywistym dowodem nowozaszczepionego ziarnka sentymentu w jego sercu — które na myśl o Maryi i jéj powiewnych skokach w walcu, drżało mu jakoś w piersiach i pewną żądzą czy tęsknotą jéj widzenia czemprędzéj, usposobiało. O Lepiance znowu teraz myślał inaczéj. Czemu Wikcia nie tańczy walca? Czyby ona potrafiła tak ślicznie tańczyć, jak Marya? — Éj — bo téż Bogiem a prawdą powiedziawszy, Marya o dużo piękniejsza od niéj — i zręczniejsza i ładniejsza...

Tak sobie myślał i szeptał czasami sam do siebie. Bogiem a prawdą powiedziawszy, mówił znów innym razem do siebie — przecie to salonik jaki taki, urządzony z gustem i szykiem ma coś w sobie ponętniejszego od tych sielankowych chatek i izdebek, w których nieraz strach bierze człowieka, aby głową nie przebił powały... Piękne to i czułe i szlachetne nawet, ale nie

na długo — a Boże broń na zawsze. Myślałem, że się już teraz nawrócę zupełnie, i pogodzę sercem i duszą z Lepianką. Gdzie tam! Już mię ta sielanka nudzić zaczyna. Lepiéj zrobiłem, żem się kochanemu Filipowi nie pozwolił wplątać w nowe długi z temi nieznośnemi Kicielskiemi, w obec których córuni, rozmawiającéj ze mną o psach i kotach, moja dawna Wikcia wydała mi się aniołem wybawicielem — ale to mię jeszcze nie zniewala do usuwania się ciągłego od świata cywilizacyi i szyku — w którym mimo tych i innych usterek, zawsze mi jakoś dobrze i lepiéj niż w takich Lepiankach, choćby z najtłuściejszemi krówkami. Zresztą mnie się zdaje, że to jest właściwością natury człowieka, coraz to nowych zażywać rozrywek i przyjemności. Jest-to przecież cechą wolności — a człowiek za wolnością wzdycha i do niéj dąży całém życiem. Krępować się mimo woli i upodobania, dla jakiegoś tam skrupułu wzruszeń lub wdzięczności — nie jest wcale odpowiednią rzeczą wolnemu człowiekowi; rób jak chcesz, jak ci lepiéj — oto jest mojém zdaniem zasada rozumnego człowieka — a my dodamy i sofisty, filozofującego logiką walca. — Taki był Stanisław w dni parę po wizycie u Maryi i po chłodném nawiedzeniu Lepianki, gdzie Wikci aż się przykro zrobiło, gdy poznała znowu nową odmianę w jego usposobieniu.

Takim był i późniéj, gdy z Tomciem odwiedził po raz drugi dom rodziców Maryi. Tomcio nie posiadał się z radości. Sześć dni trudów, zabiegów w czoła pocie i różnych facyend z żydkami, z mamą i z Wikcią — postawiły przecież jego mizerną garderobę na takiéj stopie, że uznano ją za zdolną do wprowadzenia człowieka w dom zamożny. Były tam różne braki i fabrykacye, ale te pod sprzyjającym biedzie cieniem nocy, ukryto zręcznie przed badawczym wzrokiem salonowych obserwatorów. Staś także z pomocą Tomcia wysztafirował się elegancko — i wyglądał daleko strojniéj od niego. Tomek bowiem powiedział mu, że on, jako więcéj znaczący od niego, potrzebuje mieć na sobie rzeczy staranniéj dobrane, sam zaś perswadował sobie jak mógł swojém dobrém sercem różne niedostatki i łatki. Odwiedziny powtórne udały się. Tomcia przyjęto dobrze — Stasia widocznie pożądano. Walc znowu był. Tomcio szalał z radości tańcząc go z swoją od lat tylu ukochaną. Ukochana ta jednak nie na niego zwracała swoję uwagę. Urok jéj tańca nie jego miał oczarować. Był skutecznym. Oczarował obydwóch. Obaj po powrocie do domu marzyli o pięknéj Maryi — Tomcio znalazł w swym przyjacielu rywala. Najboleśniejszą tylko było dla Stasia rzeczą, że nie mógł z swym najlepszym poufnikiem rozmawiać szczerze o gorącém zajęciu się Maryą. Chodziło mu o Wikcię, a przez to mimo wiedzy oszczędzał cierpień biednemu kochankowi. Tomcio zaś otwarcie wyznawał przed nim swoje uczucia — i pewnym będąc jego stałych zamiarów względem swéj siostry, koił swoje chwilowe podejrzenia i porywy zazdrościowe przekonaniem, że Staś tylko dla zabawki i rozrywki zachwyca się wdziękami Maryi, i roił dla tego najświetniejsze sukcesa swoich marzeń. Walc i na Tomciu wywarł swoje wrażenie. A chociaż pisaliśmy z początku tego rozdziału, że wpływy jego niezbyt bywają korzystnemi, tym razem przyznać im musimy wielką zaletę. Na Tomcia walc wpłynął bardzo korzystnie. W nim zbliżył się on do Maryi — jego melodya spłynęła w duszy jego z pieśnią miłości o kochance w jeden akord — i tego akordu moc — zreflektowała młodego zwolennika spirytualności płynnych — i powstrzymała w dawnéj i nałogowéj prawie namiętności. Walc był tu pewnym motorem poprawy. Tomcio przestał pić, czemu się w Lepiance równie wydziwić nie mogli, jako też i jego usposobieniu nagle rozweselonemu. — W Lepiance nic nie wiedziano o Maryi. Dwaj rywale święcie dochowywali sekretu. Lecz nie długo tak trwać mogło. Skoro bowiem Staś odwiedzał Wikcię ledwie co drugi dzień, i to wpadając przed wieczorem na mizerne półgodzinki czasu — skoro swém zachowaniem się zdradzał najwyraźniéj wstręt do wszelkiego stanowczego obmyślenia swéj przyszłości; skoro w rozmowie z swoją już niby narzeczoną, bywał nieraz więcéj niż obojętnym, bo często poziewającym i skarżącym się na nudy i pewną tęsknotę za życiem ruchliwszém i pełniejszém treści — musiano się wreszcie poznać na zmianie chorągiewki nad jego projektami, i stósownie do tego dać mu poznać nawzajem zasłużoną obojętność; chociaż on tym razem już na coś więcéj zasłużył. Więc téż szły rzeczy dość pospiesznie i pewnego razu mama Tomcia i Wikci postanowiła z nim pomówić szczerze i otwarcie.

— Mój panie Stanisławie, rzekła ona do niego, w chwili, gdy Wikcia wybiegła zmartwiona do ogródka; widzisz pan, jak my z nim postępujemy szczerze, przebaczysz więc, że ja jako matka zapytam się pana dzisiaj, czy jest twoim zamiarem połączyć się z moją Wiktą i jakim téż sposobem myślisz ten zamiar przyprowadzić do skutku. Bo widzisz pan, ja sobie tu postępuję otwarcie, tak jak z przyjacielem, bo ciebie panie Stanisławie dawno uważam za swego prawie syna drugiego. Kochacie się z moim Tomciem, chwała Bogu; pana dobremu wpływowi zawdzięczam jego poprawę i jestem serdecznie za to wdzięczną; ale mi téż chodzi o los mojéj jedynéj córki, która we mnie ma jedynego przyjaciela i opiekuna. Powiedz-że mi pan, — ale tak szczerze i otwarcie — co myślisz? Staś milczał, czerwieniąc się z pomięszania; czuł się winowajcą w obec sprawiedliwego sędziego.

— Bo jeśli tylko bawisz się nią, i masz zamiar skończyć wszystko na bałamuctwie — to daruje mi pan, ale ja jako matka — na to nie pozwolę i poproszę pana abyś skończył to głupstwo w téj chwili. Nie trzeba panu mówić, dziewczynie idą lata — za mąż pójść musi, bo to jéj przeznaczenie, a takie bałamuctwa do niczego dobrego nie prowadzą. My tu pana nie trzymamy, ani nie krępujemy, jesteś pan zupełnie swojéj woli panem, ja tylko mam prawo prosić pana, abyś nie zamącał cichego naszego kącika, swojém może tobie nieodpowiedniém przymuszaniem się, i uwolnił moję Wiktę od pokusy, która mi dziewczynę o chorobę przyprawić może. Daruj mi pan, jako matce, prostéj i otwartéj, że mu tak wyraźnie wszystko przekładam, ale ja inaczéj nie umiem, to jest własnością nas prostych ludzi z pod strzechy. — To rzekłszy trochę w uniesieniu i gniewie, ale zawsze w granicach gościnności i taktu — czekała jego odpowiedzi — on zaś siedział jak na torturach, każde jéj słowo paliło go ogniem gorz-

kiéj prawdy i kłuło w oczy, jak piasek rzucony niespodzianie i nagle; — tak wymowny i rozumny nie umiał jednak odpowiedzieć, i milcząc siedział jak przybity do miejsca, choćby z niego uciekał co tchu i sił natychmiast.

— Cóż milczysz pan? nie odpowiesz mi na moje pytania?

— Chciałbym być równie szczerym, bąknął nareszcie zagadniony gniewném odezwaniem się pani Wileckiéj — ale, są pewne okoliczności.

— No — to niech się pan tych okoliczności nie lęka — ja wiem, co pan chcesz powiedzieć, uprzedzę więc jego skrupuły, i powiem mu, że go więcéj przyjmować u siebie nie możemy. To rzekłszy, zerwała się z kanapki i wybiegła spiesznie z pokoju, zostawiając w nim samego Stanisława. Staś zmiarkował nareszcie, co mu wypada uczynić — powstał — wyniósł się po cichutku z Lepianki — i usłuchał prośby pani Wileckiéj — i więcéj nie pokazał się u nich. — Lecz po takiéj scenie nie miał także odwagi pokazywać się Tomciowi. — Uznał za rzecz stósowną nie chodzić wcale do niego, i tylko listownie zażądać zwrotu swych rzeczy, których tam wiele nie było. Lecz gdzie się obrócę? Dokąd pójdę? Do Piotrusia przecież nie mogę iść tak obcesowo — późniéj, to prędzéj — ale teraz — do hotelu. No! byłoby to nie źle — ale to musi sporo kosztować. Ha! cóż robić — niech kosztuje, trudna rada — pójdę do hotelu, a nazajutrz poszukam Piotrusia i od niego pożyczę trochę pieniędzy. Tak — tak — do Tomcia w żaden sposób iść mi nie wypada — jest on najprzód moim rywalem — a potém mścicielem krzywdy wyrządzonéj siostrze. Rywal i mściciel, ładnie brzmią te dwa wyrazy obok siebie — oba mają w sobie coś tygrysiego; gdybym był literatem, napisałbym powieść pod takim tytułem. Wiem, żeby się publiczności z samego tytułu spodobała. Ale dobrze, ja sobie baraszkuję, a tu może nie na żarty, jeśli nie rywal, to mściciel gotów mi zrobić wizytę. Djabla-by była sprawa. Trzebaby ją jednak załatwić z honorem. — Gdy tak idąc ku miastu, rozmawia ze sobą, gestykulując nawet tak, iż przechodnie na niego uwagę zwracali — zatrzymał się nagle, stanął — ręką przycisnął serce — i oczy pełne słodyczy zwracał ku niebu. Wszystko to pochodziło ztąd, iż tą samą ulicą szedł katarynkarz i grał właśnie owego ulubionego mu walca, który tak silne wywarł na niego wrażenie.

Z zachwyceniem przysłuchiwał się namiętnéj melodyi roskosznego tańca, i bez uwagi na cel swojéj podróży szedł i szedł za katarynkarzem, choć sam nie wiedział dokąd i jak daleko zajdzie. Należał on wtedy do owych małoletnich studencików, którzy idąc do szkoły, zagapiwszy się na takiego katarynkarza lub innego ulicznego artystę, biegną za nim — nie pytając się nikogo dokąd i jak daleko — i dla tego często spóźniają się na lekcye, albo je też zupełnie opuszczają. Staś nie opuścił wprawdzie żadnéj lekcyi, ale był bardzo podobnym do owego gapia studenckiego. Było to już dość późno. Godzina 11 wybiła już na ratuszu — katarynkarz wracał do domu bezludną już zupełnie ulicą Mikołajską — i grał sobie dla rozrywki przez drogę. Staś szedł za nim. W walcu tym była jakaś prawdziwie czarodziejska władza, która go ciągnęła za sobą. Katarynkarz skręcił w plantacye — Staś za nim — nie chodziło mu już o nocleg — o wszystkiém a wszystkiém zapomniał i szedł za walcem, jak kamyk za muzyką Orfeusza. Istotnie był on w téj chwili podobny do oczarowanego kamyka, bo krokami jego nie kierowała ani wola, ani uczucie. Wreszcie katarynkarz zszedłszy z plantacyi na gościniec, zatrzymał się przed jednym z domków tworzących szereg mozajkowych lepianek pod zamkiem — zapukał — a gdy mu otworzono, wszedł — i ucichła cała muzyka — Stanisław poczuł się dopiero w swém osamotnieniu, a czarny płaszcz nocy na nieszczęście bezksiężycowéj i bezgwiaździstéj, wydał mu się okropném straszydłem, które go tuliło do siebie. — Oszalałem, czy co? zapytał się sam siebie — cóż mię tu przygnało? Co teraz pocznę — o wszystko teraz w tak późnéj godzinie trudniéj będzie. Przeklęty ten walc — co mię tak oczarował! — Pierwszy raz zaklął na to, co dotąd błogosławił ciągle. Jednakże trzeba coś zrobić. Pójdę do miasta. I poszedł. Ulica Grodzka przez którą przechodził, była puściuteńką; ani jednego człowieka nie było widać na niéj — stróże nawet kamieniczni gdzieś przy bramach z swojemi halabardami musieli przycupnąć, a straż bezpieczeństwa nie uznawała pewno potrzeby tak późnego czuwania na ulicy. Szedł więc samotny walcownik jak mara lub potępieniec, a echo stąpań jego rozlegało się do okoła. Idąc tak Grodzką ulicą, oświeconą tylko z lekka gazowém światłem lamp, bardzo dyskretnie od siebie oddalonych — ujrzał wreszcie dom na którym właśnie lampa najjaśniéj jakoś błyszczała i zatrzymał się przed nim. — No! i nie jestże szaleństwem, mówił znowu do siebie, ażebym ja tułał się po mieście bez dachu i kąta własnego, mając taką kamienicę wspaniałą To przecież moja własność. To mój majątek. Nikt mi go nie wydrze. Nikt! póki ja żyję. Ale przekleństwo! Pomimo takiego majątku muszę znosić nędzę i poniewierkę, i takie głupie fochy jakichś tam rzemieślniczek zarogatkowych. Mieć taką kamienicę — taką ładną kamienicę, taką dużą kamienicę — to do wściekłości może doprowadzić człowieka. Jakżeż długo żyć będzie ta stara, spruchniała baba! Nigdyż nie umrze? Czekam już przecie dwa lata przeszło — a ona zdrowa, jak ryba — i zdaje mi się, że co dzień zdrowsza. Ha! to przeklęty legat. Przecie to okropne szczęście, które dopiero wtedy się zjawia, gdy śmierć zamknie oczy drugiemu. Fortuna zasiana na grobie. Ha! to przeklęcie. Cóż ja jednak winien jestem temu? Pocóż kochany pan Ambroży zrobił taki niemoralny zapis. Któżby nie pragnął śmierci takiéj, która mu otworzy spokojną i szczęśliwą przyszłość. Prawo powinno przekreślić ten paragraf: jeżeli prawu ma chodzić o moralność społeczeństwa. Taki zapis to niegodziwość! Taki legat to zguba dla legataryusza. Oto ja szamocę się już rok trzeci — a jednak do niczego prawdziwéj nie mam ochoty. Nauka, którą niegdyś kochałem, jest mi dziś ciężarem nie do zniesienia. Ja się nic nie uczę. Nic nie umiem. Jakże mogę co umieć, kiedy przy każdéj lekcyi anatomii śledzę tylko przyczyn koniecznéj śmierci starego człowieka. Tegobym się chciał nauczyć, jak poznać i wyrachować godzinę śmierci. Tego jednak nikt mię nie nauczy. Więc

po co mi inna wiedza, kiedy mię ona nie uspokoi. Radzą mi sprzedać legat. Ja tego uczynić nie mogę i nie chcę. Wiem już jak płyną pieniądze z rąk moich — a kamienica — to przecież rzecz piękna, jeszcze taka ładna — taka bogata kamienica! — Ja ją lubię, ja ją kocham — bo to moja własność, bo to moje! — I tak marząc i gadając ze sobą stał ciągle pod swoją kamienicą, patrząc się z rozkoszą na jéj oświetloną facyatę, która rzeczywiście wyglądała effektownie pośród reszty zestarzałych i zaniedbanych jéj sąsiadek. Stojąc tak dość długi czas na ulicy, i nie czując nawet chłodu nocy i nieprzerażając się samotnością ani ciemnością — zaczął nareszcie układać sobie różne plany dalszego swego życia, które sobie postanowił ułożyć zupełnie inaczéj od dotychczasowego. — Co mi po ludziach! mówił rozgorączkowany trochę — oni wszyscy niecierpliwiéj odemnie, czekają na moje szczęście. — Precz z nimi! Nie potrzebuję ich. Zamknę się. Nie będę żył z nikim. To wszystko są komedye i fałsz. — A Marya — szepnął mu jakiś ton wiatru świszczący podobnie do walca — Marya — taka sama jak Wikcia, Antonina, Cesia i tysiące innych. Nie chcę jéj widzieć nawet już więcéj. Tańczy ładnie walca — to prawda — lecz cóż to znaczy w porównaniu z tą kamienicą, która jest moją! Dość tych banialuk i hec romansowych, nie znam nikogo, nie potrzebuję nikogo. — Będę sam, tak jak samotną teraz jest moja kamienica. W niéj się zakocham, z nią będę romansował. Czuję w tém przynajmniéj jakąś rozkosz, i wiem, że mię kiedyś za to moja kochanka nagrodzi. Głupstwem jest wszystko na świecie, kamienica to grunt, to rozum. — To mówiąc podszedł pod jéj bramę i przytulając się do niéj, pocałował ją pocałunkiem obłąkanego. Tyś moja — moja — ja ciebie nie dam nikomu. Pochowamy w mogile starą twoją posiadaczkę — i posypiemy kwiatkami jéj nowe mieszkanie, a ty wtedy otworzysz mi twoję bramę — i przyjmiesz swego nowego pana uroczyście. Ty mię kochasz także — nieprawda? O wiém — wiém; lepiéj ci będzie ze mną. Poczekaj — poczekaj — nie za długo — ja ci powiem kiedy. Ja się muszę dowiedzieć kiedy to szczęście dla nas obojga zabłyśnie. Tego się będę uczył u wróżek. O nic mi innego nie chodzi. — I tak bredząc już rozgorączkowany, szalony prawie, stał i rozmawiał z swoją kamienicą — i nie uważał, że świt rozwidniał już niebo, i że się ludzie zaczęli krzątać po ulicy. Dopiero gdy stróż przemówił do niego, pytając się, czy chce wejść do domu, czy szuka jakiéj kamienicy — zreflektował się trochę — i oprzytomniał. —

— Nie — odpowiedział stróżowi, ale widzicie to moja jest kamienica — i ja patrzałem na nią przez chwilę, aby mi jéj kto nie zniszczył.

Ej co téż to pan gada? Widać się panu obraca przed oczami.

— Ale nie, mój stróżu — nie! Wierzcie mi to moja kamienica.

— Jakże zaś, kiedy ja znam przecie właścicielkę téj kamienicy, bo od niéj zawsze dostaję kolędę, szmigust i na imieniny poczęstne.

— Tak, tak, bo ta pani ma tylko tę kamienicę póki żyje, ale jak umrze, to ja tu będę panem.

— Ano to niech ta będzie i tak, kiedy się panu tak widzi.

Staś spostrzegł się teraz dopiero, że niestósowną prowadził rozmowę ze stróżem. Nie mówił więc nic więcéj, jeno odszedł. — Stróż zaś kiwając ręką za odchodzącym, szeptał sobie po cichu:

— Waryat jakiś — pilnuje po nocach kamienicy nie swojéj.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŚWIĘTA GENOWEFA

PATRONKA PARYŻA.

(Legenda. Podanie z roku 451.)

Gniew Pański nad światem się sroży.
Attila, król Hunnów, bicz Boży,
Połowę już ziemi krwią zalał,
I Franków najechał granice.
Narodzie! coś bujał i szalał,
I krzyż, jak swych bożyszcz świątnice,
Zbluźniwszy i sercem i usty,
W świat tylko uwierzył widomy!
Lutecyo!*) grodzie rozpusty!
Nad tobą już ogień Sodomy.
Attila poprzysiągł twą zgubę,
I wydał sąd ognia i miecza.
Nie ufaj w sił swoich rachubę,
Nie zbawi cię siła człowiecza.

Ten chyba, coć zesłał tę chwilę,
Pan świata i mocarz mocarzy,
Obaczy czy cnoty masz tyle,
Że szalę twych grzechów przeważy.

Jak w głębi mórz koncha miotana
Falami o skały brzeg twardy,
Jest w tobie gromadka wybrana,
Cel twego szyderstwa i wzgardy.

Gromadka to krzyża czcicieli,
Co w lochach ukryta bez wieści,
Stroniła twych biesiad, lecz dzieli
Żałobę i kielich boleści.

*) Lutetia Parisis, pierwotne nazwanie Paryża z czasów Rzymskich.

A jako w ciemnościach poczęta
W blask perła się w konsze rozświeca,
Tak w gronie jéj czysta i święta
Zakwitła cudowna dziewica.

Genowefa było jéj miano,
Wdzięk lica zdumiewał patrzących,
Lecz wdzięk ten i imię li znano
W świątyni i w progu płaczących.

Na Forum się rada zebrała,
W niéj mądrość, powaga i władza,
Jéj uznać i wybrać, co chwała,
Co miasta pożytek doradza.

„Do broni! — rzekł młodzian — dłoń nasza
Nawykła do rzutu piorunów;
Jak wicher obłoki rozprasza,
Rozproszym niesforny tłum Hunnów!“ —

A na to najstarszy z starszyzny:
„Dość z męstwa u świata już słyniem;
A jakaż ztad korzyść ojczyzny,
Że wszystko utracim i zginiem?

„Mnogości nam wroga nie sprostać.
Więc nim nas tu w gruzach zagrzebie,
Ocalmy się z miasta, by zostać
Ku przyszłéj ojczyzny potrzebie.“ —



Wesele Wielkopolskie.

I rada na zdania się dzieli. —
Wtém okrzyk się podniósł i wzrasta.
Prowadząc niewieści chór w bieli,
Na Forum wstępuje niewiasta.

Jéj postać, jej piękność dziewicza,
Rajskiemu podobna zjawieniu,
A jakoby światło z oblicza,
Blask dziwny goreje w spójrzeniu.

„Ziomkowie! o! biada wam, biada!
Źle radzi wasz zapał i trwoga.
Zuchwałość ni podłość nie nada.
Nie wroga się bójcie, lecz Boga!

„Wróg tylko jest Jego narzędziem,
Gniew Jego rozbrójmy kajaniem.
My z wami tu błagać Go będziem,
Lub same choć bez was zostaniem.“ —

— „I ktoś ty? zuchwała, szalona!“
Krzyknęli i rajcy i tłuszcza.
„Toś ty jest złowieszczka natchniona
Téj władzy, co klęski dopuszcza?

„Ha! bądźże więc pierwszą ofiarą
Twojemu dzikiemu bożyszczu.
On przez cię zagraża nam karą,
Ty nieś mu odpowiedź na zgliszczu!“ —

I zgraja wśród przeklęstw odgłosu,
Jak dzikie zwierzęta w arenie —
Ci kłody staczają do stosu,
Ci dłoń uzbroili w kamienie.

A ona spokojna i śmiała,
Wzrok w Niebo podniosła, i czeka. —
Lecz czemuż się zgraja wstrzymała?
Co znaczą te głosy z daleka.

Tłum nowy na Forum się tłoczy.
I oto zziajany od trudu,
Śród tłumu sędziwy mąż kroczy —
To German! to ojciec, mistrz ludu!

To kapłan téj wiary ściganéj,
Na którą pogaństwo się miota! —
Lecz nawet pomiędzy pogany
Wie każdy, że German — to cnota.

To każdéj boleści pociecha,
To każdéj słabości obrona. —
W krąg niego radosne brzmią echa,
I wściekłość zamilkła szalona.

On słyszy co zaszło, i rzecze:
„Ziomkowie! skrzywdziliście Świętą.
Nie było w tém dzieło człowiecze,
Że przyjść ją tu ku wam natchnięto.

„Ziomkowie! Bóg który ją zsyła,
Nic nigdy nie czyni daremno.
Jest prawdą, co ona mówiła,
Słuchajcież i wierzcie wraz ze mną!“ —

I w głosie świętego kapłana
Powionął jak gdyby duch Boży.
Przed chwilą wściekłością pijana,
Gromada się kruszy i korzy.

I radna starszyzna wraz z ludem
Dziewicę w krąg ze czcią okala.
A ona: „Widzicie, jak cudem
„Bóg w Nim ufających ocala!“ —

Płacz głośny się rozległ po tłumie,
I wszyscy, w ślad niewiast co przy niéj'
Pokutni, niepomni o dumie,
Hołd Panu złożyli w świątyni.

Lecz przed kim, o! Panie! twa wola
Zasłonę tajemnic uchyli:
Kto zmiękczył dzikiego gniew króla?
Kto zmienił zamiary Attili?

Że miasto mijając pokorne,
Ku drugim wiódł hordy najemne,
W proch burząc i łupiąc oporne,
A w pień wycinając nikczemne.

Lutecyo! lecz biada ci, biada!
Gdy wzgardzisz znów Bogiem i żalem!
Bóg czeka — lecz straszny sąd spada
Na Babilon i Jeruzalem.

A. E. Odyniec.

Odżycie.

(Ze Wspomnień K. W. Wojcickiego.)

Mawiali Rzymianie że w zdrowym ciele zdrowa dusza: prawdę tę wieki sprawdzały, dopóki wychowanie nie spuszczało z uwagi hartowania młodych pokoleń. Gdy jednakże potrzeby zmieniły się w każdéj społeczności, a ukształcenie ducha i rozwijanie wiedzy musiało szkodliwie oddziałać na powłokę cielesną jednostek: widzimy teraz przeciwnie, że zdrowa i szlachetna dusza, przemieszkuje częściéj w wątłéj powłoce, zachowując całą swoją potęgę. Pod jéj to wszechwładném działaniem, ta powłoka osłabiona wiekiem, wycieńczona trudami życia, nabiera sił nowych, organizm odzyskuje młodość swoją i takie chwile w życiu, szczególniéj artystów, nazywamy Odżyciem. —

Przykładów na to nie braknie i z osobistych wspomnień, dwa tu jedynie przywiodę.

I.

Słynna artystka dramatyczna Józefa Ledóchowska, nieporównana w rolach tragedyi klasycznych, uczyła się roli Atalii Rasyna, w przekładzie I. U. Niemcewicza. —

Matka jéj Truskulawska, jedyna z najsławniejszych artystek także tragicznych z czasów Stanisława Augusta, już była wiekiem naciśniona: trzęsły się jéj ręce i głowa. Wyniosły wzrost, starość pochyliła. —

Mieszkając w jednym domu, przyszedłem około południa. Truskulawska dała mi znak ażebym się cicho zachował, bo w drugim pokoju Józia uczy się roli Atalii. —

Przez drzwi na wpół pzzymknięte, usłyszałem dźwięczną deklamacyą Ledóchowskiéj: matka siedziała na kanapie spokojnie, z opuszczoną na piersi głową. —

Nagle gwałtownie się wzruszyła, porwała się i zawołała:

— To nie tak moja Józiu! —

Była to właśnie scena, gdy Atalia opowiada sen swój przed Nathanem i Abnerem.

Spiesznym krokiem weszła do pokoju córki, stanęła na środku, a ja patrzyłem na sędziwą matronę z podziwieniem. — Do razu postać jéj nagięta wyprostowała się wyniośle i wspaniale, trzęsienie głowy ustało, na powiędłe oblicze wystąpił blask życia nowego, oczy zajaśniały młodzieńczym ogniem. W tak majestatycznéj postaci, zaczęła głosem silnym a harmonijnym następny ustęp deklamować:

Noc była, a w okropném onéj uciszeniu,
Matkę mą Jezabelę ujrzałem przed sobą,
Jak w dzień śmierci, okrytą bogactw swych ozdobą:
Nie zniżyły jéj pychy okropne przygody,
Widać w niéj nawet było blask sztucznéj urody,
Te ubarwione lice, tę wykwintną szatę,
Któremi nagradzała pierwszych wdzięków stratę.
„Drzyj córko! rzekła, godne matki twojéj dziecię,
„Srogi Bóg Izraela godzi na twe życie:
„Wzniesiona już nad tobą ramię jego mściwe,
„O córko moja!“ Kończąc te słowa straszliwe,
Cień jéj, czy postać raczéj, ku mnie się zbliżała:
Ja, chcąc ją ścisnąć, jużem ręce wyciągała:

Lecz nie znalazłam tylko krwi czarnéj potoki,
Kości w błocie zwalane, rozpłatane zwłoki.
Rozcięte ćwierci ciała we krwi się brodzące,
I psy żarłoczne, reszty jéj członków szarpiące!

Zachwycony jéj głosem, tą prawdą artystyczną, którą nacechowała deklamacyę, że z przerażeniem i drzeniem spoglądałem na jéj postać tak wybornie przedstawiającą Atalię. — Ale gdy rolę skończyła, nagle pochyliła się głowa, i wraz z rękoma drzeć jak dawniéj zaczęła; przygasł ogień w oczach, i z oblicza uleciał wyraz ożywienia. — Tak zgarbiona, zwróciła spojrzenie na córkę i rzekła:

— To tak się moja Józiu mówić i grać powinno!

Poczém wróciła na dawne miejsce, usiadła, nasłuchując jak powtórzyła Ledóchowska ten sam ustęp. — Uradowana klasnęła w drżące dłonie i zawołała:

— Brawo! brawo! moja Józiu, teraz to dobrze. —

II.

Józef Korzeniowski w ostatnim roku życia, ciężkim ulegał cierpieniom. Mocny kaszel bezustannie go prawie męczył: ciągle dychał piersiami, a otwartymi usty zdawał się chwytać powietrze jakby mu go brakowało. — Wychudł straszliwie i zdawało się, że lada chwila wybije mu ostatnia godzina śmierci! —

Przed ostatnim wyjazdem za granicę, mieszkał przy ulicy Aleje w Warszawie, na dole, a dwa okna wychodziły na mały ogródek z obszernego pokoju gdzie sypiał i pracował. Złamany chorobą, siedząc w wielkim krześle, bo chodzić dla braku sił nie mógł, malował olejno, a czasami ołówkiem pisał na oddzielnych kartkach, przerywając pracę, zmuszony do tego albo kaszlem, albo zupełną bezwładnością ręki. —

Na dni kilka przed wyjazdem odwiedziłem go, żeby pożegnać, z tą smutną myślą, że już więcéj nie ujrzę twórcę Karpackich Górali, Andrzeja Batorego, tylu dramatycznych utworów, jak i powieści, którymi imię swoje przekazał dalekiéj przyszłości. —

Siedział w swoim krześle, stalugi stały przed nim, bo malował właśnie kopię z oryginalnego portretu wybornego pendzla.

Ciężki, suchy i długi porwał go kaszel, w nim tak się zaniósł, że zdawało mnie się jak i jego zacnéj małżonce, co czuwała nad nim ciągle a troskliwie, iż po tak gwałtownym paroksyzmie zamknie oczy na zawsze. —

Ale napad gwałtowny powoli ustał, wtedy oblany zimnym potem, drżącą podał mi rękę. Po chwili spoczynku, gdy piersią zmęczoną swobodniéj odetchnął, rzekł wtedy do mnie:

— Dobrze żeś przyszedł, odczytam ci tu pierwszą scenę dramatu, który zacząłem, a może mi Bóg dozwoli życia jeszcze, że skończę... posłuchaj...

Kaszel już mniejszy przerwał mowę: po uspokojeniu zaczął czytać.

W téj chwili, gdy oczy jego spoczęły na kartce w drżącéj ręce, kiedy wiersz pierwszy odczytał, niespodziana zaszła zmiana w całéj Korzeniowskiego postaci.

Drzenie rąk ustało, głowę podniósł wysoko z pochylonych ramion, oblicze blade, słabym okrywało się rumieńcem, oczy nabierały niezwykłego blasku a głos brzmiał dawną siłą i dźwiękiem. —

Czytał jak zwykle wybornie, z mocą, jak przed kilkunastu laty, gdy był w pełni zdrowia, kaszel ani razu mu nie przerwał, zdawało się, że wróciły mu dawne siły i dawna czerstwość. —

Czytał z wielkim przejęciem odpowiednim treści saméj jak i osób wprowadzonych w ten dramat. W ustępach pisanych krwią serca, głos drżał, miękł rozczulająco i Korzeniowski płakał rzewliwie. —

Łzy te, musiałem podzielać, bo je każdemu wyciśnie ten wiersz potężny myślą i uczuciem, prawdą, ujętą w cudnie artystyczną formę. —

Był to dyalog pomiędzy sędziwym i doświadczonym mężem a młodzieńcem rwącym się dopiero w świat nieznany. Myślą do niego byby wypadki współczesne, ożywienie narodowego ducha i owe manifestacye ludu bezbronnego przeciw zbrojnym zastępom. Starzec przemawiał jak mu wiek doradzał: młodzieniec z ogniem odpowiadając, odwoływał się do pierwszych wieków chrześciaństwa — w których wielka idea Zbawiciela, potrzebowała krwi i ofiar męczenników! —

Scena ta obejmowała około trzystu wierszy. Kiedy skończył, otarł łzy kropliste, a opuściwszy smutnie głowę, popadł w dawną niemoc.

Potęga ducha, co odżywiała cały organizm, z ostatnim wierszem zamarła: choroba ciała wzięła górę, i znowu zaczął zmęczoną szybko oddychać piersią, blask oczu przygasnął a bladość jeszcze większa niż dawniéj, pokryła lice schudzone. Na czoło dotąd gładkie, gdzie myśl dawniéj wyorała bruzdy, teraz obok nich pojawiły się zmarszczki, które rzuciły na całe oblicze i pochyloną postawę, dziwny wyraz starości schorzałéj. —

Akt ten dramatu, którego nie ukończył, był ostatnim śpiewem łabędzim wielkiego pisarza! —

K. Wł. Wojcicki.

ROZMAITOŚCI.

Średnia śmiertelność mężczyzn żyjących w stanie małżeństwa i bezżennych.

Statystyka ta jest istotnie interesującą, przedstawia bowiem wybitnie różnicę śmiertelności w małżeństwie i w stanie bezżennym. Wykazuje ona, że we wszystkich latach od 20 do 85 lat, liczba zmarłych jest daleko mniejszą w małżeństwie, aniżeli w stanie bezżennym. Powyżéj 85 roku liczby za mało się różnią, aby mogły mieć znaczenie, i trzebaby było zebrać je z wielu lat, aby dojść do czegoś stanowczego.

Z téj tablicy wypada, że w wieku od lat 20 do 25, było w jednym roku na 100,000 nieżonatych, 1174 zmarłych, kiedy na taką samą liczbę żonatych znaleziono tylko 597 zmarłych, to jest mamy różnicę o połowę, czyli innemi słowy: że w tym pięcioletnim okresie życia, śmiertelność bezżennych do żonatych jest jak 2 : 1.

W miarę wzrostu wieku, różnica ta śmiertelności zmniejsza się, lecz powoli i prawidłowo, w ten sposób, że daje pewną korzystną przewagę małżeństwu dla każdego okresu wieku. Tak więc, od 25 do 30 lat, w których liczba ludzi żonatych i bezżennych w Szkocyi waha się wyraźnie; na 100,000 wolnych było w jednym roku 1369 zmarłych, a tylko 865 na taką samą liczbę żonatych.

Między 30 a 35 rokiem, kiedy 100,000 bezżennych dostarczyło 1475 zmarłych, na takąż liczbę żonatych było tylko 907; od 40 do 45 lat, z pierwszych było 1689 zmarłych, drugich zaś 1248; od 60 do 65 lat, różnica waha się między 4330 i 3385, a w wieku lat 70 wyraża się stosunkiem 10,143 do 8,055. Wreszcie w wieku zgrzybiałym, od 80 do 85 lat, kiedy 100,000 bezżennych dostarcza 19,688 zmarłych, na takąż samą liczbę żonatych było tylko 17,400.

Znajdujemy więc tu po raz pierwszy fakt jasno przedstawiony, oparty na danych statystycznych, godnych zupełnego zaufania i obejmujących znaczną liczbę ludności, że małżeństwo wywiera na śmiertelność płci męzkiéj wpływ najkorzystniejszy

i że celibat jest bardziéj zabójczym, aniżeli najniezdrowsze zawody i przebywanie w miejscowości przeludnionéj i pozbawionéj wszystkich warunków hygienicznych i dobrego bytu.

Przychodzi się do tego samego wniosku badając te liczby z innego punktu widzenia, mianowicie: biorąc średnią przecięciową liczbę śmierci w małżeństwie i w stanie bezżennym. Jeżeli weźmiemy ogół bezżennych lub żonatych, znajdujemy: że średni wiek śmierci ludzi żonatych był 59½, kiedy ten sam wiek dla bezżennych wynosił tylko 40. Poczynając zatém od 20 lat, ludzie żonaci mogą mieć nadzieję życia dłuższego o 19 lat i pół, aniżeli żyjący w stanie bezżennym. W ogóle ludności, liczba bezżennych i żonatych jest widocznie równą w wieku lat 24. Jeżeli więc potrącimy z liczby wszystkie indywidua przynajmniéj lat 24 liczące i jeżeli liczymy tylko wiek średni zmarłych od 24 lat do końca ziemskiéj pielgrzymki, będziemy mieli wypadki również zdanie to potwierdzające. Po dokonaniu potrącenia tego wypada: 60,2 lat na średni wiek żonatych i 47,7 na wiek dla bezżennych, to jest różnicę 12,5 lat na korzyść pierwszych. Te godne zastanowienia wypadki dowodzą, że życie w małżeństwie jest stanem normalnym natury, że przedłużenie życia jakie z niego wynika, jest szczególném jéj dobrodziejstwem, pozwalającém ojcom familii wypełnić swój obowiązek i wychować dzieci. Wypadek ten może być uważanym za zasadę, za prawo natury! W małżeństwie mężczyzna znajduje dobrobyt i zmuszony jest wieść życie bardziéj regularne, małżeństwo wywiera na niego pewien wpływ podniosłości, który obcym jest dla wyniszczonych kawalerów, rozpustników, ludzi nieporządnego życia. W tém wszystkiém, według nas, leży tłomaczenie faktu: dla czego ci ostatni prędzéj umierają niż ludzie żonaci.

Zauważmy wszelako, że jeżeli prawo to ściśle się stosuje do wieku młodzieńczego, to jest do wieku od 20 do 40 lat, nie tak jest ścisłe w wieku późniejszym. Tak tedy, 20 i 30 letni mężczyzni nieżonaci, z powodów wyżéj przytoczonych, umierają w ogólności przed 40 rokiem, a zaledwie niekiedy dochodzą do lat 50. Ci którzy doszli do lat 40, a tém bardziéj tacy którzy przeszli 50, mogą być uważani za prawdziwych wybrańców, i jeżeli znajduje się różnica pomiędzy śmiertelnością żonatych i bezżennych, czemuż to przypisać należy, jeżeli nie wpływowi małżeństwa i życia bezżennego? Ciekawe byłyby poszukiwania podobne, w krajach, w których obyczaje mieszkańców różnią się od obyczajów obywateli szkockich i porównanie cyfr tam otrzymanych z naszemi.

Wiadomo, że Registrar general of England ogłasza w Dodatku do swego 25 raportu rocznego, seryę tablic, wykazującą wypadki poszukiwań nad śmiertelnością przecięciową rozmaitych zawodów i rzemiosł. Dotąd mało wyciągnięto korzyści z tych tablic, bo brakło klucza do ich tłomaczenia. Dr. Farr rozebrał liczby odnoszące się do 15 rzemiosł i porównał śmiertelność średnią. Wyniki z tego porównania wyraźnie błędne, do jakich doszedł porównywając śmiertelność we wszystkich latach z ogólną liczbą indywiduów, oddających się każdemu rzemiosłu i niemożność zdania sobie sprawy, zmusiły do dodania tablicy dodatkowéj, w któréj 15 rzemiosł jest ułożonych nie w porządku najmniejszéj śmiertelności każdego wieku, ale wystawiona jest w niéj najmniejsza śmiertelność pomiędzy 45 a 55 rokiem. Pierwszy sposób układania tablic doprowadził do wypadku uderzającego swą dziwacznością, dowodząc, że: śmiertelność średnia rzemiosł najniezdrowszych, wynosiła połowę tylko śmiertelności najniższéj, téj, jaka przypada na rzemiosła uważane za najniewinniejsze. Tak tedy: piekarze, rzeźnicy, górnicy, pracujący nad bawełną, tkacze, fabrykanci wyrobów cynowych, miedzianych, ołowianych i t. d. skutkiem błędnego ułożenia tych tablic, przedstawiali mniejszą śmiertelność niż rolnicy, pasterze, lekarze, prawnicy, urzędnicy, księża. Należy zatém postępować inaczéj i robić tylko porównania w każdym peryodzie 5-letnim życia.

Z uwag tych widzimy, jak trzeba być ostrożnym w wyprowadzeniu wniosków statystycznych. Tablice, byleby tylko były zrobione starannie, z niepominięciem żadnych potrzebnych względów, mieszczą w sobie bezwątpienia prawdę, ale przy zastósowaniu można pozbawić je téj prawdy i dojść wprost do błędu W saméj rzeczy, trudniéj dojść do rzetelnych wniosków, za pomocą statystyki, aniżeli sądzą powszechnie; w istocie jest to nauka najtrudniejsza, a jéj porywy są tém niebezpieczniejsze, iż się jéj używa z tém przekonaniem, że cyfry doprowadzą nas nieomylnie do ścisłych wywodów.

Nowa Joanna d'Arc miała ukazać się we Francyi. Korespondent z Wersalu do Gazety Kolońskiéj pisze o niéj trochę dwuznacznie, zapewnia jednak, że według urzędowych doniesień armii południowéj wiadomo, że zjawiła się nad niższą Loarą podobno postać dziewicza. Idzie ona, cała czarno ubrana, na czele wojska, niosąc jedwabną chorągiew, na któréj wymalowana jest Najświętsza Panna z dzieciątkiem Jezus na ręku.

Wesele Wielkopolskie.

(Z ryciną).

Wielkopolanie mają prawie te same obyczaje i zwyczaje co ich sąsiedzi Kujawiacy i Mazurzy. Ceremonie ślubne również uroczyste pomiędzy niemi jak w innych stronach polskich, jednak różnią się nieco i o tém wspomnieć nam wypada.

Skoro tylko chłopak zapozna się z dziewczyną i przekona o jéj miłości, postanawia ją sobie obrać za towarzyszkę, oświadczając to jéj rodzicom. Gdy rodzice i krewni przekonają się o prawdziwéj miłości młodéj pary, czyli raczéj, gdy znaleźli w związku prawdziwe szczęście, błogosławią zamiar, naznaczając oraz dzień ślubu i osoby, które zaprosić zamyślają; i to nazywa się zmowinami.

W następną niedzielę z rana idą do spowiedzi, po obiedzie odwiedzają swych przyjaciół i krewnych, zapraszając ich na ślub. Ten, który najgłówniejszą rolę w tych zaprosinach odgrywa, jest przyjacielem narzeczonych i nazywa się drużbą.

W dzień ślubu udają się narzeczony i kilku innych parobków konno do młodéj panny, a drużba ma tam mowę do gości zgromadzonych. Toż samo czyni po nim kmiotek najstarszy wiekiem.

W czasie gdy narzeczeni odbierają błogosławieństwo, daje się słyszeć muzyka rzewna, a dziewczęta jak i parobcy śpiewają stósowną piosnkę. Następnie drużba wsadza do woza narzeczoną i druchny, gdzie i muzyka się znajduje, a wskazawszy każdemu wóz, jedzie sam z drugimi parobkami konno. Przez czas trwania obrządku, przed i po nim, drużba jest mistrzem ceremonii. Po ślubie wraz z drużbami, przy śpiewie i muzyce, zajeżdża narzeczona przed drzwi pana młodego i zastaje je zamknięte. Drużba puka, a gdy otworzą oświadcza, że w dom przyprowadza gołębicę jak śnieg białą. Odtąd rozpoczyna się przy jedzeniu i piciu zabawa i tańce ochocze Gdy po włożeniu czepka prosi pan młody do tańca, ona odmawia i udaje kulawą. On zniecierpliwiony woła w końcu: kobieto, poznaj męża twego. Na te słowa podaje mu narzeczona rękę i idą w taniec. — Przy ciągłych śpiewach i muzyce, trwa zabawa nieraz do dnia białego.

Szarada.

Pierwsze każdą literę poczyna,
W drugiém zmień *ł* na *l*, a nazwę przesmyku
Znajdziesz na Bałtyku,
Wszystko, miano sławnego Wielkopolski syna.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 44: **Koźmian***).

*) Nadesłano nam następujące kombinacye zgłosek, składających znane w Polsce nazwisko Koźmianów:

Na nazwisko, będące przedmiotem szarady w ostatnim numerze Sobótki umieszczonéj, Niemcewicz taką o Kajetanie Koźmianie, autorze Ziemiaństwa, zrobił:

Pierwsze poczyna kochanie,
Drugich się boi przyjaźń lub miłość jednaka,
A wszystko, polscy ziemianie,
Nazwa waszego mistrza i śpiewaka.

Kiedy się jeszcze bawiono w trudne rymy, Gaszyński taki znalazł na powyższe nazwisko:

Prędzéj literaturę przeobrazi sto zmian,
Niżli w niéj zgaśnie Niemcewicz i Koźmian.

Korespondencya Redakcyi.

Panu I. S. w Kazimierzu: Podpisu wyczytać nie możemy. Zechciéj Pan wyraźny adres nadesłać. — Panu Chorążycowi pod Gnieznem: Dziękujemy — ale użytku z tego zrobić niepodobno. — Panu Leopoldowi K. w Berlinie: Upraszamy o dokładny adres. Nieregularny odbiór Sobótki poczcie przypisać należy. — Panu Stan. Tuło: pod Metz: Nie dziwimy się, że dla mieszkającego pod gołem niebem nawet rysowana tatrzańska chatka powabną się wyda. Pozdrowienie i podziękowanie serdeczne za pamięć przesyłamy. —